

## O P O W I A D A N I E

Starego Piskulę poznałem latem 54 czy też 55 roku. Od dawna intrygował mnie ten chyba sześćdziesięcioletni starzec — tak inny — przez swój sposób bycia — od mieszkańców tej mazowieckiej wioski. Nie pamiętam, bym widział go kiedyś w miejscowej gospodzie przy kieliszku wódki, a i do kościoła też nie chodził, jak to było w ogólnym zwyczaju. Ludzie niechętnie o nim mówili.

Przebąkiwano wprawdzie o jakiejś tragedii, jaka go dotknęła dawno temu, ale co to było, nie chcieli czy też może nie umieli nic mi o tym powiedzieć.

Postać Piskuli wydawała mi się przez to jeszcze bardziej tajemnicza, tymbardziej, że starzec był mrukliwy, jakiś taki zamknięty w sobie. Przesiadywał całymi dniami nad brzegiem Wisły, tępo wpatrzony w wodę i tylko od czasu do czasu pokrzykiwał na pasące się opodal krowy — własność jakiegoś dalekiego krewnego. Za tę pracę otrzymywał kąt i trochę byle jakiej stawy z bogatego stołu krewniaka. Wprawdzie krewniak nieraz w gospodzie, przy kielichu wygrażał, że puści starego w świat z torbami, bo to i śpi u nich, a pożytku żadnego z niego nie ma. Trzymali go jednak, bo kto by pasał krowy. Jeden syn w mieście uczy się na technika, a córka — dorosła już prawie panna, pomaga matce w gospodarstwie. Zresztą po cichu zadowoleni byli z niego. Krowy przychodziły najedzone, nie było obawy, by je Piskula wygnał na mokłą koniczynę, czy też poddawał, jak to lubiły robić wiejskie podrostki.

Życie na wsi płynęło swoim utartym, jednostajnym korytem, bez wstrząsów i sensacji. Ludzie jak zwykle walili do kościoła, po części po to, że nie mieli co robić w niedzielę, a po części, że zawsze po mszy była okazja do wypicia w gospodzie i pogadania o polityce, czy też o marnie zapowiadających się zbiorach ziemniaków. A poza tym bufetowa panna Jadzia lubiła czasem zażartować, dając się nawet podszczypywać co ładniejszym i bogatszym kawalerom.

Pewnego jednak dnia, wieś została dosłownie zalektryzowana niebywałym wydarzeniem.

Nikt o niczym innym nie rozprawiał, tylko o wyratowaniu tonącego w Wiśle chłopca przez starego Piskulę.

Wiejskie kumoszki nadziwić się nie mogły, że „to przecie taki stary chłop i nie bał się skoczyć do wody i dzieciaka za włosy wyciągnąć”. Gospodarze patrzyli od tej pory na niego z szacunkiem, zapraszali nawet na wódkę, ale Piskula nie skorzystał z darmowej ćwiartki, wykręcając się tym, że oddawna już nie pije i odwykł. Matka uratowanego wcisnęła staremu sto złotych do ręki jako nagrodę, ale nie wziął. Kobięcina długo jeszcze potem rozpowiadała o odmowie czym jeszcze bardziej ugruntowała mniemanie wsi, że Piskula to zdziwaczały staruch.

Pewnej niedzieli, kiedy leniwie pływałem po Wiśle, kajakiem, nadstawiając spoconą twarz pod lekki, chłodnawy wiaterek, ktoś zawołał na mnie po nazwisku.

Na wysokim, pełnym krzaków wikliny brzegu stał Piskula. Podpłynąłem szybko, dziwiąc się w duchu, co za interes może mieć do mnie ten człowiek, którego przecieć osobiście nie znałem, nigdy z nim nawet nie zamieniłem ani słowa. Okazało się jednak, że prosi o zapalki, gdyż nie ma czym przypalić. Z kieszeni wyciągnął starą, własnej widocznie roboty fajeczkę, do której usłużnie podałem mu ogień, myśląc jednocześnie, że oto nadarza się okazja do rozmowy. Siadłem obok, zapaliłem „żeglarka”, a stary jak gdyby zapominając o mnie, patrzył bezmyślnie w wodę.

Przyjrzałem mu się dokładnie. Twarz pomarszczona jak jabłko, spalona słońcem, wychudła, z cętkami po przebytej kiedyś widocznie ospie, pokryta była rzadkim, siwawym zarostem. Ubranie wisiało na nim, jak na strachu na wróble, podarte, gdzie niedgdy połatane niezgrabnie. Smutny oboraz krewniackiej opieki i zapłaty.

— Słyszałem, że pan wyratował chłopca — powiedziałem, by przerwać przedłużające się milczenie. Piskula odwrócił głowę, popatrzył na mnie starczymi, zalawionymi oczami.

— Ano tak, wyratowałem — westnął. Bo widzi pan każdego bym wyciągnął, tylko wiek już nie pozwala — dokończył szepcąc.

Milczałem, słusznie sądząc, że nie poprzestanie na tych kilku słowach. Poczęstowałem go papierosem. Wziął, podziękował i głęboko zaciągając się dymem zaczął powoli jakby z przymusem mówić.

— Było to w drugim roku ostatniej wojny. Mieszkałem wtedy w kieleckim. Porządną miałem gospodarke. Dwa konie, krowy, świnię, szesnaście mórg ziemi. W polu pomagał mi syn — Kazik mu było. Żona była gospodarną, uczciwą kobietą. Miałem i córkę, Zoche. Ot, taką — pokazał ręką — sześć latek.

Głos starego załamał się. Zamilkł wycierając ukradkiem oczy. Po chwili ciągnął dalej.

— Syna mi wkrótce Niemcy wywieźli gdzieś na roboty i już nie wrócił. Nie wiem czy żyje, czy nie. Żona potem zaczęła chorować na serce widać z żalości. Wozilem ją po lekarzach, ale nic nie pomogli. Po paru miesiącach pochowałem ją na cmentarzu. Rozpiłem się wtedy. Gospodarka zaczęła podupadać. Sprzedałem konia, dwie krowy. Poszły na wódkę, na tę piekielną wódkę — powiedział z pasją.

Po chwili, w czasie której poczęstowałem go znów papierosem, spokojniejszym już tonem ciągnął dalej opowieść.

— W końcu przyszło opamiętanie. Została mi przecieć Zochna, dla której musiałem jakoś po ludzku zacząć żyć. Myślałem, że się trzeba będzie kiedyś ożenić, żeby córka miała matkę. Odkupiłem konia, jedną krowę. Powoli ból przycichał. I wtedy nadszedł ten dzień, ten przeklęty dzień. Był dwudziesty piąty lipiec, pamiętam jak dziś. Upał był od rana. Wyciągnąłem z kredensu flaszkę, nalałem sobie do kubka

trochę wódki, przegryzłem chlebem. Jakoś mi nawet nie bardzo smakowało. Wtedy nadszedł Józek Rebiś nijako było chować przed sąsiadem butelkę. Wypiliśmy raz i drugi. Kiedy miałem już trochę w czubie, Józek powiedział: „Ty byś chyba teraz Wisły nie przepłynął, co? Woda duża przybiorka”. Dotknął mnie. Wiedział, gdzie mnie dotknąć, przeklęty — rzucił z pasją. Założyliśmy się o litra. Zochna zaczęła plakać. „Tatusiu — ryczy — nie idź, utopisz się, tatusiu”. A ja głupi, odepchnąłem córkę i poszliśmy. Zochna biegła za nami ciągnąc mnie za rękę i prze-

rażliwie płacząc. Na brzegu rozebrałem się, wlałem na łódkę. — Mówił teraz wolno, z wysiłkiem. — Zochna czepiając się moich nóg i coś krzycząc weszła za mną. Łódka była wąska, chybotliwa od podwodnych wirów. I wtedy — głos Piskuły przeszedł w jakiś okropny, rozdzierający szloch.

Dalej nie mógł mówić. Zakrył twarz rękami, spod których płynęły łzy i kapali na ziemię. Patrzyłem wstrząśnięty na tego starego, zrozpaczonego człowieka, któremu pamięć tamtego dnia stała się garbem życia.

## SYLWETKI

BRONISŁAW SYZDEK

### PŁOCCZANIN PREMIEREM TURKMENII

Wśród nazwisk wielu wybitnych działaczy rewolucyjnych i postępowych, którzy wyrosli z Plocka, nieznane jest dotychczas nazwisko Władysława Figielskiego.

O Władysławie Figielskim, wybitnym rewolucjonście uczestniku Wielkiej Rewolucji Październikowej, pierwszym premierze Socjalistycznej Republiki Radzieckiej Turkmenii, dotychczas niewiele wiemy.

Władysław Figielski od najmłodszych lat wykazywał duże zainteresowanie do wiedzy. Po ukończeniu Gimnazjum w Plocku, wyjeżdża na studia do Paryża. W Paryżu studiuje na Uniwersytecie Sorbony. Tutaj poraz pierwszy styka się z wybitnymi działaczami rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Tu poznaje między innymi Lenina.

Po ukończeniu studiów na Wydziale matematycznym Sorbony Władysław Figielski wraca do kraju. Tu rozpoczyna działalność rewolucyjną. Działalność jego została przerwana aresztowaniem w 1913 roku. W tymże roku Władysław Figielski zostaje zesłany do Samarkandy w Środkowej Azji. W 1915 roku zostaje zmobilizowany do carskiej armii.

Władysław Figielski swoją postawą, stosunkiem do ludzi, zdobywa sobie szybko dużą popularność wśród żołnierzy. Jeden z jego kolegów z wojska tak oto wspomina Władysława Figielskiego: „... Był to człowiek bardzo prosty niezastąpiony kolega. Nawet najbliżsi jego przyjaciele nie wiedzieli, że ma on ukończony uniwersytet na Zachodzie...”.

Carskie władze wojskowe szybko poznały poglądy Władysława Figielskiego i jako człowieka „niebezpiecznego” pod pretekstem niezdolności do służby wojskowej zwolniły go z armii.

Po zwolnieniu z wojska Władysław Figielski zamieszkuje w Samarkandzie. Wykorzystując swoją wiedzę zdobytą w paryskiej uczelni, obejmuje stanowisko nauczyciela matematyki w Gimnazjum w Samarkandzie. Obok pracy w szkole, Władysław Figielski rozwija działal-

ność rewolucyjną. Tu styka się z wybitnymi rewolucjonistami z Woskresieńskim i Bielajewem.

Nadchodzi rok 1917. Władysław Figielski jest jednym z organizatorów strajku szkolnego, który wybuchł w 1917 i aktywnie uczestniczy w Rewolucji Październikowej.

Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej Władysław Figielski przystępuje do organizowania władzy radzieckiej na swoim terenie. Pod koniec 1917 roku Komitet Wykonawczy Rady Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich wybrał Figielskiego komisarzem ludowej oświaty Samarkandzkiego Okręgu, a w lutym 1918 roku przewodniczącym tego Okręgu.

Popularność Władysława Figielskiego, nieustrudzonego bojownika o zwycięstwo Rewolucji Socjalistycznej rosła z każdym dniem wśród ludu pracy. W październiku 1918 roku zostaje on wybrany delegatem na Krajowy Zjazd Rad. Na pierwszym posiedzeniu Rady został wybrany Przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych Turkiestanu.

Stanowisko to objął Władysław Figielski w niezwykle trudnej sytuacji zarówno politycznej, wojskowej jak i gospodarczej. Latem 1918 roku wtargnęli na teren Rosji imperialistyczni interwenci, którzy postanowili krwawo rozprawić się z młodą władzą radziecką. Na teren zakaukaski wkroczyły wojska angielskie. Ośmieliło to i wzmocniło miejscowe siły kontrrewolucyjne. Rozpoczęli oni masowe mordy. Zdradziecko został zamordowany komisarz Republiki Turkmęńskiej Pultoracki, na stacji w Aman rozstrzelano 9 komisarzy, a w Azejbardżanie zamordowano 24 komisarzy Baku, w Aima-ata wybuchił bunt kozaków. Kraj dusił się w pierścieniu zbrojnej blokady.

W takich warunkach przyszło pracować Władysławowi Figielskiemu na stanowisku przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Turkiestanu. Pracował on niemalże przez całe